

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LISTOPADA 1935 R.

NR. 21

ROK V

GŁOS W DYSKUSJI

JÓZEF PONIATOWSKI

IMPORT I KONJUNKTURA

WACŁAW JASTRZĘBOWSKI

PRACA SPOŁECZNA

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

UWAGI

KONKURENCJA WYZNACZNIKÓW

NIESPODZIANKI REGLAMENTACJI

PODATEK DOCHODOWY

STEFAN MEYER

NOTATKI

PRÓBY WNIOSKOWANIA

KŁOPOTLIWE POMARAŃCZE

ADWOKAT I FURA

MILCZĄCA PASTA

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 21

1935 R.

1 — XI

KOMITEI REDAKCYJNY

CZESŁAW BOBROWSKI redaktor, HENRYK GRENIEWSKI, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI,
MICHAŁ KACZOROWSKI, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN
MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSK

JÓZEF PONIATOWSKI

GŁOS W DYSKUSJI

*Powodzenie śmiało i konsekwentnie przez rząd podjętej akcji
uzdrowienia polskiego gospodarstwa narodowego wymaga koniecznie
przezwyłączenia obaw przed skutkami radykalnego zwolnienia spo-
łeczeństwa od renty kartelowej.*

Koniec września i początek października były okresem wyjątkowo ciężkim i niebezpiecznym dla gospodarstwa polskiego. Wzrost deficytu budżetowego, niepokojące plotki o zagrożeniu waluty, nastroj rezygnacji u jednych, paniki u innych, wzmożona tezauryzacja, nacisk na rezerwy Banku Polskiego, wycofywanie wkładów, ucieczka niektórych płochliwszych kapitałów przy znacznym już zmęczeniu i wyczerpaniu społeczeństwa stwarzały położenie pełne powagi. Okolicznością szczególnie zastraszającą to położenie, nadającą mu wręcz cechy beznadziejności, był brak uświadomienia w społeczeństwie kierunku polityki gospodarczej przy dotkliwym rozluźnieniu kontaktu między społeczeństwem i rządem.

Skoro to groźne zaostrenie położenia gospodarczego było zjawiskiem natury psychicznej, pierwszym etapem pracy ratowniczej nowego rządu musiało być energiczne przywrócenie atmosfery uspokojenia i nawiązanie ze społeczeństwem kontaktu. Było zupełnie jasne, że jakiegokolwiek optymistyczne podmalowywanie rzeczywistości, albo mdle obietnice wywarłyby skutek wręcz odwrotny, niszcząc resztki zaufania. To też rząd poszedł inną drogą: od samego początku okazał, że docenia i rozumie powagę sytuacji i nie zamierza jej ukrywać. Już po 10 dniach przyszedł ze skryształizowanym wytknięciem kierunku polityki koniunkturalnej i z decyzją wzięcia na siebie wyłącznej odpowiedzialności za realizację tego kierunku. Tego właśnie było społeczeństwu trzeba: szczerego, męskiego

przedstawienia sprawy, świadomości, że polityka gospodarcza wie, dokąd idzie, choćby to nie miała być droga różami wysłana. Pierwszy etap walki został wygrany: odprężenie nastąpiło, miejsce paniki zajęło oczekiwanie raczej pełne nadziei, pomimo niemałego wysiłku ze strony grup, węszących już dla siebie żer polityczny przy spodziewanym załamaniu. Powróciła możliwość spokojnej, konstruktywnej pracy nad realizacją drugiego etapu, powiedzmy wyraźnie: trudniejszego, przywrócenia *obiektywnych* warunków rozwoju gospodarczego. Skoro rząd uznał za wskazane, zamiast konspirowania zamierzeń, poddać je dyskusji publicznej, publiczności, którzy niejednokrotnie dopominali się takiej postawy, nie spełniliby obowiązku, rezygnując z udziału w dyskusji.

Z tem, że jasna i logicznie związana polityka, której zarys dały enuncjacje Premjera i Wicepremjera, jest lepsza od niezdeterminowanych prób poruszania się w sprzecznych kierunkach równocześnie — zgodzą się zapewne także i rzeczowi przeciwnicy wybranego kierunku. Autor tych słów znajduje się w o tyle wygodniejszym położeniu, że walcząc od lat paru o skierowanie polityki gospodarczej na tor ułatwienia i przyspieszenia procesów przystosowawczych nie może być posądzony o nie-szczerość czy oportunistyczny wypowiadając się z całym przekonaniem za słusnością ogólnego kierunku, naszkicowanego przez przedstawicieli rządu.

Wybór zdecydowanego kierunku stanowi konieczny warunek powodzenia polityki gospodar-

czej, jak zresztą każdej innej. Wybór właściwego kierunku czyni powodzenie prawdopodobnym. Nie może go jednak zapewnić. Zapewnia powodzenie dopiero realizacja właściwie wybranego kierunku, mianowicie wtedy, gdy jest dostatecznie szybka, konsekwentna i wystarczająca co do zakresu. Temu ostatniemu momentowi przypisuję szczególną wagę. Procesy przystosowania przeprowadzone połowicznie, pozostawiające w życiu gospodarczym znaczne niewspółmierności, większe od tych, które można było obserwować w ostatnim okresie depresji podczas przesilen, likwidowanych przez automatyzm gospodarczy, nie rokowałyby możliwości poprawy, natomiast prowadziłyby do tem głębszych rozczarowań.

Rząd nie skrywa przed opinią nietylko ogólnej koncepcji, ale i zamierzeń realizacyjnych tam, gdzie mogły one już zostać opracowane, tak np. przytoczono liczby obrazujące rozmiar zarządzeń, mających bezpośrednio zwiększyć dochody skarbu, jak i rozmiary ulg w obciążeniu rolnictwa. W wielu innych dziedzinach, z natury rzeczy, rozmiary akcji nie zostały jeszcze postanowione. Do tych właśnie dziedzin należy zamierzone obniżenie cen związanych i taryf kolejowych. Dziedziny te zostały między sobą uzależnione w ten sposób, jakoby obniżenie taryf miało być rekompensatą dla przemysłu skartelizowanego za obniżenie cen. Obok zamiaru powołania komisji, mającej badać koszty produkcji w poszczególnych kartelach takie postawienie sprawy nasuwa obawę, że niższa cen kartelowych może zostać ograniczona do tego, co kartele, obdarzone ulgami przewozowymi, będą mogły wytrzymać.

Rozważmy konsekwencje takiej ewentualności. Jak wiadomo, spodziewane oszczędności, wraz ze spodziewanem zwiększeniem dochodów, zaledwie wystarczą na zrównoważenie budżetu bez redukcji dochodów kolei oraz monopolów państwowych, o ile zdolność płatnicza społeczeństwa nie ulegnie zmianom. Tymczasem dzisiejsza sztywność taryf przewozowych jest jednym z poważnych czynników hamujących poprawę, i odciążenie życia gospodarczego na tym odcinku wydaje się nieuniknione. Pewną ulgę dałaby już wewnętrzna przebudowa taryf, wyciągająca konsekwencje z tych zmian w cenach towarów, które miały miejsce od czasu wprowadzenia dziś obowiązującej taryfy. Skoro jednak miałyby się nadal obniżać taryfy od przewozu towarów kartelowych, a więc właśnie tych, które i dotąd były wybitnie faworyzowane, w takim razie także znaczne obniżenie ogólnego poziomu byłoby konieczne. Wprawdzie potaniecie transportu powinno zwiększyć przewozy, ale trudno się stąd spodziewać zupełnego wyrównania ofiar P. K. P., jeżeli równocześnie inne czyniki nie przyczynią się do ożywienia obrotów. Niemniej wydaje się nie do pomyślenia polityka odciążenia najdrobniejszego rolnictwa bez ofiar ze strony Monopoli Solnego. Z drugiej strony, zrezygnowanie z tezy, że równowaga budżetu musi być zupełna, groziłoby fiaskiem całej akcji. W tem zestawieniu staje się widoczne, że warunkiem zwycięstwa jest ożywienie obrotów gospodarczych o tyle, by zapewnić mogło wzrost wpływów skar-

bowych o jakieś 60 — 100 milionów zł. w stosunku rocznym już w najbliższym czasie.

Czy projektowany zespół zarządzeń przyczyni się do takiego ożywienia? O ile na przyszłość, może niezbyt odległą, ale przecież nienatychmiastową, wszystkie one zmierzają do tego celu, o tyle działanie bezpośrednie niektórych z pośród nich może być wręcz odwrotne. Tu należą zarządzenia oszczędnościowe i obciążenie dochodów z uposażeń. Zmniejszenie, czy obciążenie płac nie stanowi wprawdzie samo przez się o wycofaniu odpowiedniej siły nabywczej z rynku, ale stanowi ono przesunięcie w spożyciu, nadto dotychczasowe deficyty były poczęści finansowane inflacyjnie, co ma być zaniechane. Dlatego zarządzenia bezpośrednio równoważące budżet wywrą zapewne na spożycie i obroty wpływ analogiczny do deflacji, zaciskający rynek. Gdyby im nie towarzyszyły co najmniej równoważne zarządzenia, działające w kierunku przeciwnym, budżet zostałby ponownie zagrożony od strony spadku wpływów. Obniżenie taryf, ulgi w obciążeniach, mogą wykonać tylko część tego zadania, wymagają zaś tem większej rekompensaty. W tem położeniu widzę jedno źródło natychmiastowego ułatwienia obrotów gospodarczych i zwiększenia wpływów skarbowych: zniszczenie renty kartelowej.

Przyjmując wartość wewnętrznego zbytu towarów kontrolowanych przez jawne i niejawne kartele oraz monopole prywatne na 1½ miljarda zł., t. j. raczej zbyt nisko i zakładając, że przeciętny poziom cen tych towarów byłby przy wolnej konkurencji zapewne co najmniej o 35% niższy niż to ma miejsce obecnie, otrzymalibyśmy, że koszt społeczny utrzymania karteli przewyższa pół miljarda złotych rocznie. Założenie wynika stąd, że: 1) wskaźnik ogólny cen hurtowych po wyłączeniu cen towarów skartelizowanych i przy podstawie 1928 r. = 100 wyniósłby poniżej 50; 2) wskaźnik surowców i półwytworów skartelizowanych, obliczony przez Instytut Badania Konjunktur Gosp. i Cen wynosi około 83, a więc o 66% więcej; dla skartelizowanych wyrobów gotowych brak wskaźnika; 3) ceny surowców i półwytworów, stanowiących główny przedmiot kartelizacji, spadały podczas kryzysów za czasów łatwiejszej konkurencji ostrzej od innych.

Wartości, otrzymywane przez kartele, nie są całkowicie dla społeczeństwa stracone. To prawda, ale podobnie i wartości, pobrane na podatki nie są przecież stracone. Zniweczenie renty kartelowej miałoby właśnie podobny skutek dla życia gospodarczego jak zmniejszenie obciążenia podatkowego o pół miljarda, czego zapewne nikt nie nazwie drobiażgiem. Obniżenie cen, jakkolwiek to brzmi paradoksalnie, wywiera wpływ ożywczy podobny do inflacji, ponieważ zwalniając siłę nabywczą umożliwia zwiększenie obrotów. Wpływ ten zazwyczaj jest niewidoczny, ponieważ równocześnie odbywa się deflacja, która właśnie powoduje obniżanie się cen. O ile przy utrzymanym obiegu pieniężno-kredytowym społeczeństwo musiałoby wydawać o 500 milionów zł. mniej w stosunku rocznym, na zakup tej samej ilości dóbr i usług, to mogłoby wydać te 500 milionów na zakup większej ilości towarów,

albo np. 400 miljn. na zwiększone zakupy, a 100 miljn. zł. mogłoby oddać Skarbowi w postaci podatków, opłat taryfowych i innych. Jeżeli jednak ceny kartelowe obniżą się przeciętnie np. tylko o 15%, to nawet przy założeniu dokonania efektywnej niżki w pełnej wysokości, ożywienie obrotów mogłoby nie wystarczyć dla zrównoważenia redukcji taryf i cen soli.

Należy się tymczasem obawiać, że obniżka cen, oparta na metodzie stosowanej już poprzednio kilkakrotnie, t. zn. na szacunku ofiar, które kartele są w stanie ponieść przy zachowaniu swej struktury i zachowaniu własności wszystkich przedsiębiorstw skartelizowanych w obecnych rękach, nawet przy zastosowaniu rekompensat w postaci ulg taryfowych i zmniejszenia świadczeń społecznych, nie sięgnie nawet połowy renty kartelowej. Zysków buchalteryjnych oddawna przecież nie wykazują ani przedsiębiorstwa, ani ich zrzeszenia. Pewne zyski kryją się w postaci płac „dyrektorskich” i tantiem, nieco więcej — w postaci wysokiej obsługi „wierzycieli” zagranicznych, ale nie ulega wątpliwości, że główna przyczyna sztywności cen kartelowych tkwi gdzieś indziej. Jest nią olbrzymie obciążenie kapitałem stałym na jednostkę produktu, wynikające z utrzymania całego aparatu wytwórczego, przystosowanego do wysokiej koniunktury, przy równoczesnej polityce wysokich cen przy małej produkcji. Tem się właśnie tłumaczy rzeczywista niezdolność karteli do stosowania cen wolnego rynku. Ceny te oznaczają selekcję, likwidację części przedsiębiorstw, a kartele usiłują zapewnić wszystkim swym członkom przetrwanie. Przy znieszeniu całej, albo prawie całej renty kartelowej to zadanie nie mogłoby być wykonane. Słabsze przedsiębiorstwa musiałoby ustąpić. Można tu żałować inwestowanego w nich kapitału, ale świadomość, że kapitał ten odgrywa jedynie rolę obciążania kosztów produkcji, nie służąc jej powiększeniu, może się przyczynić do złagodzenia żalu.

Sprawy tej nie wydaje się załatwiać w całości projektowana ustawa o odpłatach za postój, ponieważ w wielu wypadkach taka odpłata nie ma miejsca, pracują wszystkie przedsiębiorstwa, ale wszystkie tylko częścią zdolności wytwórczej. Dodać należy, że taki właśnie sposób postępowania był dotąd popierany przez władze państwowe, dzięki złudzeniu, że w ten sposób utrzymuje się wyższe zatrudnienie. Ustawa o odpłatach za postoje nie jest konieczna: wystarczy zredukować cenę o całą wysokość renty kartelowej, a odpłaty same znikną.

Sprowadzenie cen kartelowych do poziomu, na którymby się znalazły przy pełnym działaniu t. zw. „dzikiej”, albo „niszczącej” (właśnie: niszczącej przerosty) konkurencji, wymaga przewyciężenia bardzo wielkich oporów. Ogromna część opinii publicznej w najlepszej wierze przypuszcza, że konieczne wówczas zamknięcie pewnej liczby warsztatów pracy sprowadzi wzrost bezrobocia, spadek konsumpcji, zanik eksportu i t. p. Mechanizm

tych różnych plag wyobrażają sobie ludzie dość magicznie. Spróbujmy raz jeszcze rozważyć sprawę najważniejsze: rynku pracy i wywozu.

Weźmy jako przykład cukier. Przypuśćmy (nie przywiązując wagi do zupełnej ścisłości tych cyfr, niedalekich wszakże od rzeczywistości), że całą ilość około 3 miljn. q. cukru sprzedaje się odbiorcom krajowym po cenie 125 zł. za 1 q. a ok. 750 tys. q. odbiorcom zagranicznym po 8 zł. za 1 q. Odbiorcy krajowi płacą ogółem ok. 375 miljn. zł. zagranica — ok. 6 miljn. zł. Przypuśćmy dalej, że w cenie 125 zł. mieści się 43 zł. akcyzy, 2 zł. innych podatków, 5 zł. na fundusz eksportowy, np. 15 zł. kosztów transportu i dystrybucji i 60 zł. otrzymanych przez cukrownie na miejscu. Co się stanie przy obniżeniu ceny do zł. 90, przy zniesieniu funduszu eksportowego i utrzymaniu akcyzy? Cena loco fabryka spadnie do zł. 30, co uniemożliwi produkcję np. połowie drożej wytwarzających fabryk. Reszta i dziś mogłaby wytwarzać przy cenie 30 zł., a jeszcze obniży koszty dzięki pełniejszemu uruchomieniu. Społeczeństwo zapłaci za tę samą ilość cukru tylko 270 miljn. zł. Co się stanie z pozostałymi 105 miljn. zł.? Część pójdzie na zwiększenie zakupów cukru, reszta — na inne rynki. Jeżeli analogiczne zwolnienie siły nabywczej nastąpi w innych kartelach, to znowu wpłynie m. in. na większe zakupy cukru. Nie wydaje się więc fantazją przypuszczenie, że 45 miljn. zł. przeznaczonoby na dodatkowy zakup 500 tys. q. cukru, przyczem Skarb zyskałby 22,5 miljn. zł., a 60 miljn. zł. przyczyniłoby się do ożywienia obrotów w innych gałęziach, przynosząc także dochody Skarbowi. W tych warunkach zatrudnienie musi wzrosnąć, a uzyskanie rekompensaty w bilansie handlowym za stracone 6 miljn. zł. nie byłoby trudne przy przeznaczaniu na premie choćby $\frac{1}{3}$ zwiększonego dochodu Skarbu.

O ile przestaniemy wydawać setki milionów na utrzymywanie przy życiu skartelizowanych przedsiębiorstw, zagadnienie budżetowe wydaje się rozwiązane, natomiast skutki gospodarcze zależeć będą jeszcze od tego, w jakim stopniu zwolniona siła nabywcza przyczyni się do podniesienia cen towarów sprzedawanych na wolnym rynku, w jakim zaś do zwiększenia produkcji. Ze względu na zdolność konkurencyjną wobec zagranicy byłoby pożądane możliwie umiarkowane podrożenie towarów nieskartelizowanych przy wzamian znacznym rozszerzeniu zbytu i obniżeniu kosztów produkcji.

Półowiczne załatwienie zagadnienia cen kartelowych stawiałoby ostateczny wynik całego pięknie i logicznie przemyślanego zespołu zarządzeń pod znakiem zapytania. Zwolnienie społeczeństwa od ciężaru renty kartelowej jest warunkiem ożywienia obrotów wewnętrznych, zrównoważenia budżetu przy obniżeniu taryf, wreszcie rozszerzenia zdrowego wywozu dzięki zwiększeniu konkurencyjności polskiego towaru.

WACŁAW JASTRZĘBOWSKI

IMPORT I KONJUNKTURA

Artykuł niniejszy oddany był do druku w początku października r. b. Od tego czasu nastąpiło sprecyzowanie nowej polityki konjunkturalnej, która pozwala na precyzowanie również postulatów pod adresem polityki obrotu towarowego z zagranicą. Bowiem polityka obrotu towarowego z zagranicą jest i musi być fragmentem ogólnej polityki konjunkturalnej.

Wzrost produkcji przemysłowej — obserwujemy go w Polsce — pociąga za sobą konieczność zwiększenia importu; mówiąc ściślej, o ile zaznaczająca się poprawa w zatrudnieniu przemysłu ma być utrzymana i wzmocniona — trzeba zgodzić się ze zwiększeniem przywozu. Współzależność tych dwu zjawisk jest jasna i niewątpliwa: fabryki, aby mogły pracować, muszą mieć potrzebne surowce, maszyny i inne towary produkcyjne, część których mogą otrzymać tylko z zagranicy.

Oczywiście — rozumując abstrakcyjnie — można zmusić przemysł do znalezienia owych dóbr produkcyjnych w kraju, na co mogą sobie pozwolić państwa mające wielką obfitość i różnorodność surowców, oraz takie same zróżnicowanie przemysłów maszynowych i pokrewnych. Te kraje mogą sobie pozwolić na autarkję. Polska sobie na nią pozwolić nie może: zastępowanie bowiem zagranicznych dóbr produkcyjnych krajowymi byłoby u nas połączone w przebudowaniu licznych warsztatów pracy, ze zniszczeniem niektórych, a zbudowaniem innych, więc z nakładem kapitału, którego niema, którego wyciśnięcie na ten cel byłoby zlikwidowaniem poprawy — a o jej utrzymanie i wzmocnienie właśnie w tej całej sprawie chodzi.

W warunkach więc naszych wzrost produkcji przemysłowej i wzrost importu stanowią zjawiska nierozdzielnie ze sobą związane. Jednakowoż duży import pociąga za sobą groźbę pasywnego bilansu handlowego, a więc załamania równowagi bilansu płatniczego, a więc odpływ złota i groźbę zachwiania waluty. Pojawienie się biernego salda w bilansie handlowym jest w tym wypadku ewentualnością tem realniejszą, że okres wzrastającej produkcji przemysłowej jest okresem niechętnego odnośzenia się do eksportu ze strony producentów, znajdujących lukratywniejsze warunki zbytu na rynku wewnętrznym. W tym związku między produkcją, handlem zagranicznym i walutą — tkwi m. in. jeden z ważniejszych słabych punktów wszelkiego „nakręcania konjunktury”. Jednak związek ów działa również w obliczu poprawy nie wywoływanej sztucznie, choć w tym ostatnim wypadku zagadnienie jest znacznie łatwiejsze do pomyslnego rozwiązania.

Streśćmy rozumowanie. Wzrost produkcji przemysłowej — a więc poprawa konjunktury — *postawić może* gospodarstwo narodowe wobec dylematu: czy zgodzić się na import i utrzymać poprawę, ale narażać na niebezpieczeństwo walutę? czy zredukować import, utrzymać aktywne saldo i ochronić walutę — ale zdusić poprawę? *Waluta może zabić poprawę, albo poprawa może zabić walutę.*

Użyliśmy słowa „może”. Dylemat, który sformułowaliśmy, staje przed politykiem gospodarczym, ale nie jest on nierozwiązalny: Waluta może — ale nie musi — zabić poprawę, poprawa może — ale nie musi — zabić walutę. Związki gospodarcze, o jakich mowa, są znane i oczywiste, można je przewidzieć dostatecznie wcześniej i przy odpowiednio dalekowzrocznej polityce gospodarczej można pogodzić troskę o walutę z potrzebami rosnącej produkcji. Pogodzenie tych dwu czynników oznacza w danym wypadku nie tyle *zupełne* zaspokojenie potrzeb towarowych wzrastającej produkcji i *zupełne* obsłużenie rynku dewizowego przez handel zagraniczny, co skoordynowanie obu celów i zaspokojenie ich *w tym stopniu*, aby żaden z nich nie narażał na niebezpieczeństwo drugiego, a sam mógł być należycie honorowany.

Jedną z teoretycznie możliwych metod postępowania jest zaciąganie pożyczek zagranicznych i przeznaczanie ich na zapłatę rosnącego zapotrzebowania dóbr produkcyjnych. Mamy tu na myśli oczywiście nie wyłącznie i nie koniecznie pożyczki zaciągane przez czynniki publiczne; bardziej realnie i bardziej celowo wyglądają raczej prywatne transakcje kapitałowe. W tej zaś dziedzinie interesujące nas obecnie zagadnienie łączy się bezpośrednio z kierunkiem polityki wobec kapitału obcego i stawia wobec tej polityki, jako naczelny postulat, *jasność*. Rzeczą ważną lecz drugorzędną jest w danym wypadku *jaki* będzie kierunek tej polityki, rzeczą podstawową jest, aby kierunek ten *istniał* i aby mógł go sobie zupełnie jasno i zupełnie dokładnie uświadomić kapitalista zagraniczny.

Skłonni jesteśmy jednak abstrahować w tej chwili od kwestji ruchów kapitału, ograniczając te uwagi do zagadnień towarowego wyłącznie obrotu. Osiągalnem bowiem, wydaje się poszukiwanie skutecznych remediów w zakresie obrotu towarowego, bez uciekania się do operacji finansowych. Remedja te leżą zarówno po stronie przywozu, jak i wywozu, przyczem *wszystkie one* nie wykluczają się nawzajem, przeciwnie, uzupełniają się, co oczywiście rozszerza swobodę i skuteczność działania polityki gospodarczej.

Można więc ograniczyć import do surowców istotnie niezbędnych, jak to czynią obecnie Niemcy, posilkujące się przytem używaniem surogatów surowcowych, na co pozwala im wysoki poziom techniki. Ilościowe i jakościowe ograniczenie importu wymaga jednak opracowania nader precyzyjnego planu i bardzo sprawnego wykonywania go, tego rodzaju bowiem „policyjne” rozwiązywanie zagadnienia łatwo może nie odpowiedzieć wielce

zróznicowanym i elastycznym potrzebom produkcji. Wreszcie granice redukowania importu są w tym wypadku dwie, obie równie ważne: jedną wyznacza zapotrzebowanie przemysłu, drugą wyznaczają rozmiary wywozu, czyli zdolność płacenia za przywóz. Ta metoda, sama w sobie, nie wystarcza: właśnie przykład Niemiec wydaje się być przykładem jej niewystarczalności.

Można — zamiast zaciągać pożyczkę na zapłatę surowców obcych — zakupić te surowce na kredyt długoterminowy. Oczywiście operacja taka nie jest łatwa, wymaga przygotowań w postaci stworzenia odpowiednich form organizacyjnych, zazwyczaj koncentrujących zakupy i podbudowanych odpowiednią konstrukcją finansową — są to jednak rzeczy najzupełniej wykonalne, czego dowody mieliśmy, w pewnym zakresie, również w Polsce.

Rzecz inna, że ta droga działania, nader aktualna jeszcze przed niewielu miesiącami, wydaje się być nierealną obecnie, przy pewnym zdezorganizowaniu rynków surowcowych, odczuwających nie dający się ocenić ściśle wzrost popytu i dosyć nerwową wyżkę cen. Nie jest jednak powiedziane, że odnośnie szeregu towarów transakcje kredytowe, zwłaszcza wielkie, nie są możliwe i obecnie, niedaleka zaś przyszłość może przywrócić dawne korzystne warunki.

Powyższe metody działania można by nazwać *organizowaniem importu*, przygotowaniem go do przewidzianych potrzeb i możliwości; żadna z nich nie wystarcza, ale każda może być częścią składową wystarczającej całości. Część tych może było w zakresie obrotu towarowego więcej; szukać ich można i należy w dziedzinie *organizowania towarowej zapłaty za import*, t. j. organizowanie eksportu.

Wspomniano powyżej, iż okres wzrastającej produkcji jest okresem wzrastającej niechęci do eksportowania. Powinno się więc dezyderat przełamania tej niechęci. Zwykle premjowanie wywozu nie rozwiązuje tu sprawy, gdyż sumy na ten cel przeznaczane — aby dać cel zamierzony — musiałyby wzrastać raz dlatego, że rosnący import stwarza potrzebę rosnącego eksportu, powtórze dlatego, że premja jednostkowa musi być tem wyższa, im lepsze są ceny wewnętrzne. Przełamywanie niechęci do eksportu (ukuto w Niemczech termin „zmęczenie eksportowe”) wymaga metod i urządzeń organizacyjnych bardziej wnikliwych i bardziej skomplikowanych, których wzorów znowu doszukałbyśmy się mogli w Niemczech.

Na tem miejscu z przykrością przypomnieć trzeba, że system premjowania eksportu — o ile na-stawiony został na osiąganie jedynie doraźnych celów — działa na organizację wywozu destrukcyjnie, przenosi bowiem natężenie konkurencyjności wyłącznie na cenę i raczej zniechęca do czynienia inwestycji handlowo - organizacyjnych, skoro ich brak można zastąpić obniżką ceny, notabene kosztem cudzej kieszeni.

Związane z powyższem jest uruchomienie urzędzeń techniczno - handlowych w dziedzinie eksportu, otwierających nowe rynki, ułatwiających dobrowolną czy wymuszoną sprzedaż zagranicę, wyciągających towar z kraju samą inercją swego istnienia. Wzrost produkcji przemysłowej z reguły poprzedzony jest okresem, w którym eksportuje się chętnie, gdyż rynek wewnętrzny jest ciasny; obserwowaliśmy to i w Polsce. Okres ten stwarza dogodne warunki dla uruchomienia form organizacyjnych, o których mowa, a których potrzeba i użyteczność ujawnia się właśnie wówczas, gdy pojawia się troska o surowce. — Specyficzną formą tych urządzeń są systemy kompensacyjne, w których po stronie importowej figurują surowce, a więc specjalnie trudne do zrobienia, ale i specjalnie pożądane.

Jak powiedzieliśmy wyżej, powyższe metody działania — są jeszcze i inne — nie wykluczają się nawzajem, przeciwnie uzupełniają się. Słusznem jest, aby stosować wszystkie naraz. Tworzy się w ten sposób system skomplikowany, złożony z członów różnorodnych, z których każdy jest poważnem zagadnieniem organizacyjnem. System, dla stworzenia którego niezbędny jest czas i mianowicie czas dla *mykonania przygotowań*, a więc znaleziony, i wykorzystany możliwie, przedtem, zanim jeszcze potrzeby importowe ujawnią się z całą siłą; system, dla stworzenia którego potrzebne jest potraktowanie handlu zagranicznego jako — bardzo w sobie samym złożonego — fragmentu ogólnych procesów koniunkturalnych. Powstanie i sprawnie działanie takiego systemu *nie może nie być* rezultatem polityki gospodarczej dalekowzrocznej, wyprzedzającej sytuację przymusowe, bardzo konsekwentnej w podporządkowywaniu celów dorywczych i szczegółowych, celowi zasadniczemu. Cechą zewnętrzną takiego systemu *musi być* koncentracja dyspozycji i wielka sprawność proceduralna.

Dylemat: — czy waluta ma zabić poprawę, czy poprawa walutę? — wogóle nie jest dylematem; jest wprost zadaniem dla polityka gospodarczego i to zadaniem o tyle łatwem do rozwikłania, że znajomość procesów ekonomicznych pozwala przewidzieć nadchodzące wypadki i przygotować się do nich, a arsenał instrumentów polityczno - gospodarczych jest zupełnie wystarczający, może nawet nadmierny. Rozwiązanie tego zadania jest o tyle łatwiejsze, że poprawa w produkcji przemysłowej pojawia się na całym świecie, a więc na całym świecie istnieje potrzeba surowców i dóbr produkcyjnych, istnieje potrzeba importu, który jest dla nas eksportem. Ta sytuacja międzynarodowa jest jednak tylko *terenem dla działania*, jest możliwością, która można wykorzystać lepiej lub gorzej, w pełni lub wcale, zależnie od tego, w jakim stopniu nadaje się swej polityce gospodarczej wspomniane powyżej cechy: dalekowzroczność, wyprzedzanie sytuacji przymusowych, konsekwencję w podporządkowywaniu celów dorywczych i szczegółowych celowi zasadniczemu — zależnie od posiadanych talentów organizacyjnych.

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

PRACA SPOŁECZNA

Praca społeczna w Polsce ma wielkie pole do popisu, jeżeli organizacje społeczne usprawnią metodę swego działania i uzdrowią ducha, jaki w nich panuje.

Praca społeczna to jest coś więcej, niż stowarzyszenie społeczne. Stowarzyszenia bywają rozmaite: bractwo różańcowe i Bractwo św. Łukasza, Klub Myśliwski i Klub Artystyczny, Towarzystwo Przyjaciół Huculszczyzny i Towarzystwo Przyjaciół Muzyki Symfonicznej, związek akuserek i związek zawodowy tancerek i tancerzy, Automobilklub Polski i Polski Związek Tenisa Stołowego... Nie wszystkie z wymienionych dałyby się nazwać stowarzyszeniami społecznymi, aczkolwiek we wszystkich „wre” praca społeczna, praca zbiorowa, *zespoloma*.

Uciekając (świadomie) przed definjowaniem pojęć pracy społecznej i stowarzyszeń społecznych, stwierdzam, że problem sam w sobie dojrzał już dostatecznie, by go z wielu stron rozpatrzyć i ocenić, ustalając pewien pogląd, zgodny z nowoczesną zasadą pracy wogóle. Każdy (i każda) z nas ma za sobą „stage” w organizacjach, od szkolnych i „bratniackich” zacząwszy. Bez tego „stage’u” trudno sobie wyobrazić przeciętnego obywatela w wieku lat conajmniej 30. Z młodszymi jest już inaczej. „Starsi” byli w innym położeniu: chcą czy nie chcą (tych, co nie chcieli, było niewiele), należało się do organizacji, pracowało się społecznie, bo taki był styl, taki „fason”, taka moda.

Przyczyną, a zarazem dobrą stroną istnienia wszelkich stowarzyszeń, jest konieczność uzupełnienia inicjatywy publicznej ciał przymusowych inicjatywą publiczną, społeczną, dobrowolną. Jeżeli w najbogatszych krajach, gdzie tworzenie — dajmy na to — towarzystwa czyteln ludowych jest zbędne wobec braku analfabetów i istnienia powszechnych bezpłatnych bibliotek publicznych, mimo to pracują społeczne organizacje propagandy wiedzy ogólnej czy specjalnej, to tembardziej w ubogiej Polsce musi istnieć organizacja, która dzięki wysiłkowi swych członków dokona niebywalej rzeczy: otworzy czytelnię pism i książek dla robotników w stolicy. Gdy przy całym aparacie Ministerstwa Oświaty i kuratorów powstają ogólne i regionalne towarzystwa szerzenia wiedzy zawodowej, gdy przy 36 p. p. w Warszawie powstaje Koło Rolnicze, szkolące żołnierzy w pracy... na roli (t. zn. uczące żołnierzy - chłopów lepszej uprawy ziemi), gdy pomimo egzystencji państwowej i samorządowej opieki społecznej nie brak całej litanii instytucji dobroczynnych, charytatywnych, opiekuńczych itp. — to znaczy, iż istnieje ogrom niezaspokojonych potrzeb, którym nie podda i ze względów budżetowych i ze względów technicznych, nie mówiąc już o zasadniczych, ani państwo, ani gmina. Jeszcze ta ostatnia może i powinna brać w swoje ręce wszystkie te prace społeczne, które mogą grozić dublowaniem lub krzyżowaniem funkcji, spełnianych przez nią. Ale nawet wtedy, gdy gmina

będzie „aniołem stróżem” wszystkich biednych, chorych, głodnych, uczących się, sportowców, muzyków itd., itd., to i tak nie przeszkodzi ona powstaniu stowarzyszenia zbieraczy biletów tramwajowych lub — mówiąc poważnie — towarzystwa ekonomistów.

Praca społeczna w dodatkiem tego słowa znaczeniu ma tę wielką zaletę, że umożliwia zdrową mobilizację sił i inicjatywy prywatnej, że zarazem wyzwala w człowieku jego nieco lepsze pierwiastki (instynkty), jak altruizm, współdziałanie, solidarność... Nawet „wyżywianie się” jednostek w organizacjach jest rzeczą *w zasadzie* pożyteczną, nie mówiąc już o korzyściach, jakie jednostka czerpie z obcowania z innymi ludźmi, z odrębnymi poglądami i nieco innym terenem działania. Nie samem biurem człowiek żyje. Odnosi się to zwłaszcza do tej kategorii pracowników, którzy byłiby skłonni uważać, iż osiągnęli szczyt zadowolenia, idąc o 3-ej na obiad...

Jest wreszcie moment, specjalnie ważny w kraju, tak jak nasz ubogim. Na barkach członków, czyli opłacających składki obywateli spoczywa bynajmniej nie mały ciężar utrzymywania instytucji, uzupełniających państwo lub gminę. W r. 1934 wpływy ogólne 4 stowarzyszeń wyższej użyteczności (Polski Czerwony Krzyż, Tow. Budowy Szkół Powszechnych, L. O. P. P. i Tow. Przyjaciół Młodzieży Akademickiej) oraz Ligi Morskiej i Kolonjalnej wyniosły 20 milj. zł., z czego conajmniej 3/4 stanowiły składki członkowskie*). Gdybyśmy mieli dane o innych, mniej uhonorowanych organizacjach, moglibyśmy ustalić globalną kwotę dobrowolnego w zasadzie podatku, opłacanego przez społeczeństwo z pominięciem kas państwowych i samorządowych. Jeżeliby wypadło 50 milj. zł. rocznie, to i tak suma byłaby niższa od tej, której istnienie się podejrzewa.

Strony ujemne pracy społecznej nie leżą w jej istocie czy potrzebie, lecz w jej — wykonaniu. A są one, w Polsce przedewszystkiem, tak liczne i tak w skutkach daleko idące, że nie można — nawet w piśmie w zasadzie poświęconem ekonomice — przejść nad niemi do porządku dziennego.

Co się głównie rzuca w oczy na tle naszych stosunków, to — *nadmiar* organizacyj. Chociaż mamy tyle niezaspokojonych potrzeb, to jednak przydałaby się silna redukcja ilości stowarzyszeń. Jest ich za dużo na danym odcinku pracy, gdy na innym wogóle ich niema. Nadmierna liczba stowarzyszeń i zły podział funkcji powoduje wzajemne dublowanie czynności i włożenie sobie w drogę. 90

*) Istnieje ponadto jeszcze jedno stow. wyższej użyteczności, Ogólnopolski Związek Straży Pożarnych, o którym „Mały Rocznik Statystyczny” nie zebrał pod tym względem potrzebnych nam danych.

proc. wysiłku danego stowarzyszenia spełnia 9 innych stowarzyszeń, a tylko 10 proc. jest jego bezsporną własnością.

Drugi zarzut, jaki należy postawić pracy społecznej w Polsce, to *niefachowość* i bezład — że tak powiem — kierunkowy. Stowarzyszenia społeczne (sensu stricto) nie orjentują się w pracy ani innych, pokrewnych stowarzyszeń, ani instytucji specjalnych, nie znają rzeczywistych potrzeb, zwłaszcza gospodarczych, kraju i hołdują kultowi niekompetencji w sposób, który zarządom przynosi kompromitację, a rzekomo uszczęśliwionym ofiarom — szkody. Ileż to instytucji społecznych prowadzi szwalnie, kursy kroju i warsztaty szewskie po to, aby wyprodukować jeszcze nowe dziesięć tysięcy niedouczonej, a na przepełnionym rynku zbędnych bieliźniarek, krawczyń i szewców! Pogłębianie i rozszerzanie „owczych pędów” stało się ideałem żarliwych stowarzyszeń, idących po nieaktualnej, anachronistycznej linii najmniejszego oporu. Na dobitkę takie stowarzyszenia, dając młodzieńcowi czy dziewczynie jakiś fach do ręki, zapominają ich pouczyć o pewnych rygorach prawnych (np. o konieczności zdania egzaminów i uzyskania karty rzemieślniczej), a nie mogąc wyposażyć w kapitał obrotowy i nie ucząc handlowej strony każdego rzemiosła, rzucają swych wychowanków w ramiona chałupnictwa.

Inna znowu cecha tych stowarzyszeń, to wyciąganie kasztanów z ognia cudzemi rękami. *Genezą* powstania takich placówek „pracy” społecznej bywa nierzadko nadzieja (niestety, spełniana aż zanadto skwapliwie), iż czynnik publiczny pośpieszy z wydatną pomocą finansową. Tu wjeżdża w grę subsydja, tam — bilety kolejowe ze zniżką, o której się zwyktemu śmiertelnikowi nie śniło, ówdzie — zamówienia, dostawy i przetargi (jest to forma nieuczciwej, a w każdym razie nierównej konkurencji z przemysłem, handlem i rzemiosłem) — i tak państwo lub samorząd z własnej kieszeni podtrzymuje przy życiu instytucje, których główną rację bytu stanowi... *eksploatowanie kasy publicznej*. I dzieje się to w najlepszej wierze uczciwymi metodami, bez marnowania (t. zn. rozkradania) grosza publicznego.

Wreszcie — sama *metoda pracy* organizacyj społecznych. Polskim, jeszcze niewypienionym wczajem aparat administracyjny stowarzyszeń społecznych jest ciężki i biurokratyczny. Decydowanie o błahych sprawach przez wieloosobowy zarząd, obawa przed jednostkową odpowiedzialnością (co nie wyklucza jednostronnej dyktatury osób „z tupetem”), rozgałęziony system komisyjnych uzgadniań — oto zwykłe, codzienne grzechy przeciw racjonalnej organizacji pracy.

Specjalnego omówienia wymaga w rozpatrywanym problemie kwestja — urzędników. Chodzi mi o *element urzędniczy*, przeważnie państwowy, który w pracy stowarzyszeń społecznych (sensu largo) „magna pars fuit” i — niestety — „est”.

Faktu pracy urzędników publicznych w instytucjach społecznych nie należy jako takiego zwalczać. Przeciwnie — udział ten jest pod wieloma względami pożyteczny i dla samych urzędników i dla pracy społecznej. Urzędnik nie zasklepia się więc w ciasnych najczęściej ramach swego urzędo-

wania „od 8 do 3”, wchodzi w wir zagadnień, istniejących poza jego biurem, poznaje sens, a w każdym razie „podszewkę” wielu zagadnień, uzupełnia swoje wykształcenie i wiedzę życia — słowem, odnosi osobiście duże korzyści. Obecność jego w pracy stowarzyszenia sprzyja w zasadzie usprawnieniu metod działania organizacji, gdyż zna on szereg drugorzędnych, ale potrzebnych urządzeń, czynności manipulacyjnych itp. Co więcej — rola elementu urzędniczego niejednokrotnie sprowadza się do ułatwiania działalności stowarzyszenia przez torowanie mu drogi wśród instytucji publicznych. Urzędnicy, zwłaszcza „ustosunkowani”, są niejako akceleratorami w realizacji zadań stowarzyszeń lub tymi, którzy usuwają przeszkody, zbudowane przez system biurokratyczny. Bywają też wypadki, że w radzie lub zarządzie stowarzyszenia odbywa się jakgdyby „rendez-vous” „czynników decydujących”, coś w rodzaju „komisji międzyministerjalnej”. Można by podnieść co prawda wątpliwość, czy ludzie, którzy tworzą biurokrację, są sprawniejsi w godzinach pobiurowych, niż przed godziną 3-ą, ale wątpliwość ta ma raczej charakter „*arrière pensée*”...

Dodatknie strony udziału elementu urzędniczego w pracy instytucji społecznych nie powinny przesłaniać jego stron ujemnych. Wszystko byłoby w porządku, gdyby, dajmy na to, nie *serwilizm*, który tu i ówdzie reguluje ów udział. Z fałszywego wstydu lub strachu wchodzi do stowarzyszeń społecznych obcy im i zbędni ludzie albo kierują swą pracą w stowarzyszeniach przedewszystkiem względami na karierę osobistą. Argument, jakim usiłowane zjednać nowego członka do pewnej, pożytecznej skądinąd, instytucji, był ten, że przecież na jej czele stoi pani ministrowa...

Mówiłem poprzednio o kulcie niekompetencji; kult ten szerzą w organizacjach społecznych przedewszystkiem osoby, których stanowisko — jak to się mówi — socjalne ma jakoby rozgrzeszać ich niekompetencję. Odnosi się to zwłaszcza do żon wyższych urzędników państwowych, a o pp. starościcach, które w dziedzinie, powiedzmy, popierania przemysłu ludowego potrafią przewrócić wszystko do góry nogami, chodzą złośliwe anegdoty, niewątpliwie przesadne, acz symptomatyczne.

Nakoniec: wszędzie ci sami. Niżsi urzędnicy na prowincji należą do 5 co najmniej placówek społecznych, wyżsi muszą się wykazać członkostwem co najmniej 10 instytucji. Po przeniesieniu pewnego wicewojewody okazało się, że 32 organizacje straciły swego członka, o ile nie prezesa. Że „system” ten bije po kieszeni danego urzędnika, że go pozbawia chwili wytchnienia po pracy biurowej, że sprzyja dyletantyzmowi i pracy „byłe zbyć” — tego uzasadniać nie potrzebuję. Przyczyna złego (poza snobizmem czy nieuzasadnioną obawą o karierę) leży głównie w braku odpowiednich czy chętnych ludzi. Jedni się „boczą” (X-owi nie podoba się Y), drudzy „wołają się nie narażać”, inni żałują czasu i pieniędzy; ale to odnosi się do jednostek. W gruncie rzeczy w polskim przeciętnym mieście zdolna do pracy społecznej inteligencja jest ilościowo b. szczupła, a mieszczaństwo uobywatelnia się powolutku. Stąd na barki zorganizowanych kadr urzędniczych spada nadmierny ciężar. Ale skoro mater-

jał ludzki jest ilościowo skromny, to nie należy tolerować w jednym małym mieście aż 32 instytucji społecznych. Wedle stawu grobla...

Podnoszą się głosy, że dla usunięcia bolączek, których tylko część odsłoniłem przed czytelnikiem, państwo powinno ingerować w życie stowarzyszeń społecznych. Dotychczas czynią to władze bezpieczeństwa, a rozwiązanie stowarzyszenia następuje ze względów politycznych lub gdy nie przejawia ono żadnej działalności. Nie zapobiega to, rzecz prosta, wchodzeniu stowarzyszeń na ślepe tory, marnowaniu czasu i energii, kolegjalnemu załatwianiu drobnych spraw incydentalnych, serwilizmowi etc. Nadzór nadzorem — a bez zmiany kąta widzenia samego społeczeństwa reforma stowarzyszeń społecznych pozostanie czczym słowem. *Duch obywatel-*

ski w daleko większym stopniu panuje w organizacjach ukraińskich Małopolski Wschodniej, aniżeli w czysto polskich instytucjach, gdzie „akceleratorzy” dokonywują cudów. Takiego poświęcenia się, samozaparcia, pracy ofiarnej a *fachomej* jak w organizacjach ukraińskich, należałoby oczekiwać i od polskiego społeczeństwa. Skromność środków nie przeszkadza ukraińcom doprowadzać do wielkich dokonań; nam taka skromność niepewno przeszkodzi, chociaż nie pomoże również i system protekcji i ułatwień na cudzy rachunek. *Obrzędowość*, jaka się wytworzyła w polskiej pracy społecznej, musi być czempredziej usunięta. Inaczej lepiej skasować wszystkie placówki t. zw. społeczne, a pozostawić kluby towarzyskie, instytucje bezpretensjonalne, miłe i niekępujące. Poco oszukiwać siebie i innych.

U W A G I

KONKURENCJA WYZNACZNIKÓW

W artykule p. t. „Wyznaczniki” (zob. „Gosp. Narod.” Nr. 15 — 16 z r. b.) zastanawiał się p. A. Falk nad przesłankami polskiej polityki gospodarczej, przesłankami, ujętymi niejako „sub specie aeternitatis”. Autorowi chodziło o podkreślenie roli momentów pozagospodarczych, jak zły rozdział dochodu społecznego, przyrost ludności, rola klasy inteligenckiej, nasze położenie geo - polityczne i t. d. Momenty te miały nadawać kierunek długofalowej polityce gospodarczej, miały (i mają) zmuszać do takich a nie innych posunięć.

Wspomniany artykuł jest raczej dowodem „po-bożnych życzeń”, aniżeli odpowiednikiem rzeczywistości. Obok bowiem wyznaczników strukturalnych, socjologicznych, historycznych i t. p. istnieją i działają wyznaczniki koniunkturalne, doraźne, emocjonalne i t. p., zaczerpnięte z magazynu polityki dnia dzisiejszego. Ich rola jest większa od roli poprzednio wymienionych przesłanek, większy jest również wpływ, większe oddziaływanie sugestywne.

W krótkotrwałym okresie pomajowej „prosperity” było inaczej. Wielkim wysiłkiem państwa i społeczeństwa dokonano całego szeregu posunięć wybitnie długo - falowych, głęboko sięgających w naszą strukturę gospodarczą, socjalną i — śmiem twierdzić — psychiczną. Budowa portu w Gdyni i stworzenie polskiej floty handlowej są tej akcji punktem szczytowym, ale prócz nich znajdziemy bez trudu sporo dokonań czy zamierzeń, świadczących o planowej rekonstrukcji polskiego gospodarstwa narodowego. Wszakże obok doskonale pomyślanej i intensywnie wykonywanej działalności komasacyjno - melioracyjnej szły prace nad stworzeniem systemu niepodzielności gospodarstw wiejskich, co pozostaje w ścisłym związku z pow. działalnością.

Z kryzysem zaczął się i „wielki post”. „Radosna twórczość” poszła do lamusa, pozostawiając po sobie osad t. zw. przerostów, a rozpoczęła się gra z dnia na dzień, od jednego deficytu do drugiego. Normalną koleją rzeczy wytworzyła się reakcja przeciwko przeszłości, którą utożsamiono z przero-

stami, zapominając, że jaskrawe głupstwa i niedociągnięcia nie stanowią o istocie rzeczy. Tak np. zatakowano gospodarkę samorządów, wytykając im luksusowe szkoły lub liczenie wiewiórek, niedoceniając równocześnie wysiłku, jaki podjęto pod hasłem europeizacji naszych barbarzyńskich miast i miasteczek, których rozwój jest jedną z niezbędnych przesłanek industrializacji i urbanizacji kraju.

„Wielki post” wielkich koncepcyj długofalowych trwa nadal. Trzeba było katastrofy w stylu zeszłorocznej powodzi, żeby zdecydowano się na wielkie a niezbędne roboty wodne w dorzeczu górnej Wisły. Trzeba było bankructwa fiskalno - koniunkturalnej koncepcji Państwowego Funduszu Drogowego, żeby ruszono budowę dróg bitych w Polsce. Ale to są tylko wyjątki — wyjątki z konieczności. Pozatem obowiązuje doraźność.

Niewątpliwie, wpływa na to sytuacja: i ogólnoswiatowa i nasza polska. Nikt nie wie, co jutro przyniesie. Przy założeniu, że stabilizacja złotego nie podlega dyskusji i że pokrycie musi wynosić co najmniej 40%, uznano równocześnie, że w imię przyszłości, mającej nam zapewnić złotodajny strumień kredytów zagranicznych, nie należy przeszkadzać odpływowi tychże kredytów, udzielonych nam w przeszłości. Nawiasem dodajmy, że ta koncepcja, a raczej stawka na kredyty, była — aczkolwiek mocno naiwna — jedyną długo - falową koncepcją polityki wybitnie koniunkturalnej. Dodajmy też, rozszerzając nawias, że nieograniczona a kosztowna swoboda transferu dziwnie nie harmonizuje z aktualnymi wypadkami ostatniego pięciolecia, których przebieg świadczy o tem, że „coś się w świecie popsuło”.

Niewątpliwie, trudno prowadzić politykę na dłuższą metę, gdy deficyt budżetowy dochodzi kwartalnie do 80 milionów zł. Zapewne, możnaby i na tę sprawę spojrzeć z innego punktu widzenia, skoro się uwzględní, że w okresie czerwiec — sierpień ub. r. przeciętne miesięczne wydatki Skarbu Państwa wynosiły 122 miljn. zł., gdy w analogicznym okresie r. b. 180 miljn. zł., mimo, że obecnie nie było już Pożyczki Narodowej. A zatem polityka budżetowa nie okazała się przewidująca i za cenę

doraźnych korzyści dopuściła do tego, że zarówno w czasie dopływu środków z pożyczki wewnętrznej, jak i w czasie jej nieistnienia (pożyczka inwestycyjna poszła nie na budżet), nie przeprowadzono niezbędnych oszczędności, które teraz narzucają się z całą siłą i to w momencie specjalnie niekorzystnym. Skutki operacji, dokonywanych na ostatnią chwilę, są dobrze znane nie tylko w medycynie...

Zagadnienie równowagi budżetowej stało się osią, dookoła której kręci się polityka gospodarcza epoki kryzysu. Jednocześnie utarło się, że większe znaczenie posiada sama choroba (deficyt budżetowy) aniżeli jej przyczyny (struktura budżetu). „Gospodarka Narodowa” w uwadze p. t. „Przed obniżką” (Nr. 17 — 18) wskazywała na te istotne przesady, jakie tkwią w administracji państwowej pomimo tylu bolesnych cięć. Nie będziemy tutaj powtarzali cudzych argumentów, sprowadzających się do wskazania palcem zbędnych czy przesolonych pozycji budżetowych. Wypowiemy się natomiast — chociaż bez ambicji autorskich — za tezę o konieczności zmniejszenia zakresu działalności administracji państwowej. Można bowiem zmniejszyć pobory urzędnicze lub zredukować tyłu a tyłu urzędników; gdy się pozostawi poprzednio obowiązujące zadania, efekt redukcji poborów lub etatów będzie raczej ujemny, gdyż na przeciążone i lichy płatne barki zwali się zwiększony ciężar nieproduktywnego obowiązku. Zaniechanie oddziaływania instancji poza - gospodarczych na aparat administracyjny i na budżety ciał publicznych na pewno wpłynęłoby dodatnio na atmosferę i koszty administracji tak państwowej, jak i samorządowej.

Wreszcie momenty natury już nie budżetowej, a raczej wewnętrznej - politycznej. Stawka na zieleń, przekreślając koncepcję przebudowy ustroju rolnego bez wstrząsów i kataklizmów, spowodowała kosztowne w skutkach zaniechanie procesów upadłościowych. Analogicznie i z analogicznymi konsekwencjami postąpiono w odniesieniu do zakładów przemysłowych. W ostatecznym wyniku zachowano tylko pozory kraju wypłacalnego: w stosunku do zagranicy — tak, (płacimy), w stosunku do obywateli własnych — nie (moratorium, karencja i t. p.). Dla kredytu i kapitalizacji nie jest to dobra pożywka. Znowu cel dalszy poświęcono dla przemijających momentów koniunkturalnych, których punkt wyjścia jest więcej polityczny stanowy, aniżeli gospodarczy.

W imię tej, fałszywie pojętej, ideologii grupowej, poświęcono interes przemysłu przetwórczego (w którym kapitał krajowy gra stosunkowo większą rolę), podporządkowując go interesom obok kapitałowego przemysłu surowcowego, z węglem na czele. Chodzi tutaj nie tylko o przeciwstawność dwóch liczb: 50.000 robotników, zredukowanych w górnictwie na przestrzeni lat 1928 — 1935, oraz 200.000 robotników, usuniętych w ciągu tegoż siedmioletnia w przemyśle przetwórczym; chodzi tu również o poziom cen surowców i artykułów gotowych. Ochrona stanu posiadania w kluczowych działach gospodarstwa narodowego i, dalej idąc, w pewnych, specjalną troską otoczonych przedsiębiorstwach indywidualnych (np. na terenie Łodzi): oto dalsze przykłady polityki koniunkturalnej, je-

den z podstawowych wyznaczników aktualnej i rzeczywistej polityki gospodarczej w Polsce.

Wyznaczniki dnia dzisiejszego klóć się z wyznacznikami dni następnych. Dzień dzisiejszy rysuje się zupełnie jasno i wyraźnie, wiadomo, kto jak korzysta lub traci. Perspektywy przyszłości, pojętej jako procesy głębokich a doniosłych zmian, są trudne do odcyfrowania. I wymagają dużej odwagi w momencie ich realizacji. Nie o metodę chodzi, lecz o sens roboty. Długo - falowa polityka gospodarcza może się teraz posługiwać deflacją, jak przed 7 — 8 laty używała do swych celów łagodnej inflacji. System deflacyjny jest jednak moralnie trudniejszy. Wymaga co najmniej jako tła — mitów społecznych czy społecznych perspektyw, gdyż — w przeciwieństwie do inflacyjnego — jest to system ofiar, chociażby przejściowych. Wymaga czystej atmosfery, mocnych słów i mocnych czynów. Wymaga, наконец, metody czy nastroju ofensywy, a nie austriackiego odwrotu „na upatrzone zgóry pozycje”. Manewr sierpniowy z nad Wieprza, manewr, którego podstawą było planowe „oderwanie się od nieprzyjaciela”, przegrupowanie sił i atak z flanki na głębokie tyły przeciwnika, aż się doprasza, by go ceteris paribus zastosować na „froncie gospodarczym”. Było to jednak posunięcie z ducha i formy ofensywne, zakończone bitwą nad Niemnem, jako logicznym a przewidywanym wynikiem akcji Naczelnego Wodza. Walka na „froncie gospodarczym” musi mieć w perspektywie Grodno, a nie chwilowo, koniunkturalnie ważną Warszawę, której rola w t. zw. cudzie nad Wisłą była drugorzędna w pojęciu Wodza, pierwszorzędna natomiast w pojęciu „trąb jerychońskich”.

K. Brodnicki.

NIESPODZIANKI REGLAMENTACJI

Obecny system reglamentacji importu powstał jeszcze w roku 1935, i, mimo wzrostu kilkakrotnego rozmiarów reglamentacji przywozu utrzymuje się dotychczas. Polega on na tem, że kontyngenty przywozu są dzielone pomiędzy importerów w Polsce przez Centralną Komisję Przywozową, jako organizację wylonioną przez Związki branżowe ogólno - polskie kupieckie, rolniczo - przemysłowe wolne i przymusowe, jak Izby Przemysłowo Handlowe.

Podział kontyngentów odbywa się w drodze przydziału części kontyngentów dla poszczególnych grup, a w grupach dla poszczególnych importerów według pewnego stałego klucza, a zatem sam system podziału nosi cechy stałości. Klucz podziału jest ustalony nie tyle na zasadzie zgłaszanego zapotrzebowania, ile raczej na zasadzie udziału w przywozie w poprzednim okresie czasu, przytem jako poprzedni okres uważany jest okres przed wprowadzeniem reglamentacji, względnie reglamentacji okresu liberalnego, jaki miał miejsce kilka lat temu w czasie dobrej koniunktury. Tem samem istnieją, jakgdyby prawa nabyte pewnych grup, względnie pewnych przedsiębiorstw poza krąg których, przydział rzadko jest rozszerzany.

W systemie tym powstają pewne zjawiska czasem przez reglamentację zamierzone, a częstokroć niezamierzone, powstające jako momenty wtórne, nie dające się uzgodnić w linii ogólnej polityki na

innych odcinkach handlu zagranicznego. Otóż celem istotnym takiego systemu reglamentacji są przede wszystkim, poza oczywiście ilościowym ograniczeniem przywozu, również dwie rzeczy. Pierwszą jest podniesienie ceny towaru reglamentowanego, co powstaje siłą rzeczy przy kontyngentowaniu przywozu i wobec łatwości porozumienia importerów między sobą co do utrzymania pewnej ceny minimum. Porozumienia te co do wysokości ceny działają hamująco na rynek, o ile chodzi o artykuły konsumcyjne. W ten sposób ogranicza się pojemność na rynku na dany artykuł. Drugim momentem jest przeniesienie renty, wynikającej z niskiego stanu ceny na rynku zakupu, na rynek polski, jako rynek ceny wyższej. Z rentowności tej korzystają raczej odbiorcy polscy, niż ich dostawcy zagraniczni, którzy konkurują ze sobą w sposób nieorganizowany. Jasne jest, że jest to pożądane w zakresie artykułów konsumpcyjnych bezpośredniego spożycia jak towary rolnicze i artykuły gotowe wyrabiane w kraju. Dzięki temu reglamentacja w tych działach stwarza pewnego rodzaju dodatkową ochronę celną. Dodać należy, że często-kroć ilościowe ograniczenie przywozu łączy się w tych wypadkach z takim ustaleniem okresu działania kontyngentów, że powstają okresy czasowego działania wyższej ochrony rynku.

Naogół zatem można powiedzieć, że reglamentacja spełnia w tym zakresie swoje zadanie. Natomiast tam, gdzie chodzi o artykuły, stanowiące zapotrzebowanie przemysłu, jak surowce i półsurowce, na które reglamentacja w ostatnich dwóch latach nie tylko rozszerzyła się, ale i pogłębiła (w tem znaczeniu, że kontyngenty zostają znacznie skurczone) — w tym zakresie reglamentacja oddziałuje raczej w sposób ujemny. Coprawda działanie jej jest paraliżowane przez klasyfikację kontyngentów na zapotrzebowanie samego przemysłu i na zapotrzebowanie handlu, dostarczającego też same surowce dla przemysłu i przez wyróżnianie w podziale kontyngentów zapotrzebowania przedsiębiorstw przemysłowych. Mimo to jednak nie daje się uniknąć momentu podniesienia ceny i kosztów, a zatem zwiększenia kosztów własnych produkcji w danym dziale.

Z drugiej strony musimy zaobserwować niepożądane i niezamierzone skutki tego systemu. Pierwszym skutkiem rzucającym się w oczy jest niewątpliwie wyższa rentowność handlu importowego od handlu eksportowego. Rentowność ta nie jest uchwytą częściowo wskutek tego, że uchodzi uwagi szerszych sfer konsumentów, natomiast jest dostrzegana doskonale przez organizacje zajmujące się między innymi opinowaniem podań o pozwolenie przywozu, a które znaczną część swego budżetu opierają na tych opłatach. Jest ona niewątpliwie zauważana również przez właściwe urzędy. Mam tu na myśli nie tylko urzędy skarbowe, ale również te, które zajmują się polityką wywozową. Obarczyły one import wysokimi nieraz świadczeniami na rzecz eksportu. Zdają one sobie świetnie sprawę z tego, że przy tym systemie reglamentacji wszelkie opłaty mogą być przerzucane na odbiorcę i że nie narusza to bynajmniej rentowności interesu importowego. Ponadto często zauważamy fakt narzucania importerom t. zw. kompensacyjnego wią-

zania importu z eksportem, co ma na celu prze-właszczenie części nadzysku, powstającego wskutek przydziału znacznej części kontyngentu danej firmie na rzecz stratnego eksportu. Również nie-spodziewanym i ujemnym skutkiem tego systemu reglamentacyjnego jest to, że przedsiębiorstwa handlowe siłą rzeczy interesują się coraz mniej eksportem, a coraz więcej importem nie tylko dlatego, że eksport jest dla nich interesem nowym i trudniejszym, ile dlatego, że poprostu przedsiębiorstwo o wiele lepiej może ulokować swój kapitał w interesach importowych. W wyniku tych procesów w naszym handlu zagranicznym posiadamy wiele placówek pracujących w imporcie przy poważniejszych obrotach (doskonale zresztą wywiązujących się z zadań obsługi rynku), zato nie posiadamy handlu eksportowego bądź też poważniejszych przedsiębiorstw typu portowych domów handlowych dla importu i eksportu.

Opierając się na powyższych spostrzeżeniach dochodzimy do wniosku, że należy zmienić pogląd ogólny na reglamentację, iż jest ona wyłącznie instrumentem hamowania przywozu. Jak zauważyliśmy wyżej, działając dodatnio na rentowność importu, wpływa ona jednocześnie na tendencje przedsiębiorstw handlowych do zajmowania się raczej właśnie importem reglamentacyjnym niż innym, a w każdym razie nie eksportem.

Druga uwaga jaka się nasuwa w tej sprawie to fakt, że samo obciążenie importu na rzecz świadczeń dla eksportu nie rozwiązuje zagadnienia pojawiania się nowego eksportu, a jedynie działa w kierunku doraźnego faktu ilościowego zwiększenia danej pozycji eksportowej. Natomiast świadczenia te nie stwarzają potencjonalnych warunków na powstawanie nowego eksportu, a w każdym razie na powstawanie placówek handlu eksportowego. Dodać tutaj należy dla wyjaśnienia, że znaczna część tych świadczeń jest przeznaczona na obniżanie cen dla odbiorcy względnie na wyrównanie różnic kosztów produkcji eksportera polskiego i jego konkurenta zagranicznego. Gdyby większa część tych świadczeń szła na fundowanie przedsiębiorstw eksportowych i na ich kapitał obrotowy, wówczas być może stopień rentowności handlu eksportowego zostałby poprawiony. W obecnej zaś strukturze handlu eksportowego zjawisko to nie ma miejsca. Narzuca się pytanie, czy w takim razie nie należałoby zmienić linii postępowania w tym zakresie i nie rozpocząć wiązania kontyngentu importowego z kontyngentami eksportu, warunkującymi udzielanie pozwoleń przywozu.

Próby podobną podjęto w roku ubiegłym w oparciu coprawda nie o reglamentację przywozu w zakresie zakazu przywozu, ale w oparciu o ulgi celne morskie (system transakcyj z zaświadczeń kompensacyjnych). System ten zawiódł może dlatego, że nie był konsekwentnie do końca wypróbowany. Czy próby te należałoby kontynuować, czy też nie, to jest zagadnienie nie nadające się może w tej chwili do dyskusji, która być może dałaby pewne rozwiązanie. Może dałaby ona rezultaty, chociażby w zakresie wyświeślenia kwestji, jak dalece istnieją w Polsce warunki dla podejmowania tego rodzaju imprezy na dłuższy przeciąg czasu przy

zmiennych warunkach reglamentacji, i dla zobrazowania doświadczenia co do owocności tego rodzaju praktyki w innych krajach. W każdym razie jest pewnem, że łączenie kontyngentów importowych z eksportem, może być rozumiane przede wszystkim, jako wiązanie towarowe importu towaru gotowego wzamian za wywóz surowca, a następnie jako wiązanie kierunkowe przywozu i wywozu w obrocie z danym krajem. Wówczas istniałaby bardziej naturalna podstawa do handlowego wiązania interesu importowo - eksportowego. Wszystko to oczywiście może mieć miejsce pod dwoma warunkami. Pierwszym warunkiem niezbędnym powodzenia takiej akcji jest ustabilizowanie polityczne kontyngentu i wiążącej się z nią polityki obciążenia importu na dłuższy okres, i naturalnie analogicznej stałości warunków w krajach, do których eksport nasz ma się odbywać. Przy ta-

kiem postawieniu sprawy mielibyśmy do czynienia z jasnym już rozumieniem kontyngentów w Polsce jako pewnego rodzaju koncesji na okres dłuższy. Drugim kardynalnym i równie niezbędnym warunkiem jest posiadanie odpowiedniego aparatu administrującego tego rodzaju koncesjami. Aparatu tego nie posiadamy, a trzeba zdawać sobie sprawę, że jest on kosztowny i bardzo trudny do użytkowania ze względu na potrzebne kwalifikacje i jego rozmiary.

Na zakończenie należy zaznaczyć, że w każdym wypadku, w jakimkolwiek kierunku poszłaby reglamentacja przywozu, jeden jest niewątpliwie doświadczalnie stwierdzony fakt, iż niepożądanym jej skutkiem jest podniesienie rentowności importu w okresie zanikania eksportu.

Z. W.

STEFAN MEYER

PODATEK DOCHODOWY

Reforma podatku dochodowego powinna z gruntu przebudować ten podatek w zastosowaniu do struktury gospodarczej Polski.

Podatek dochodowy — podatek obrotowy i opłaty stemplowe — oto trzy podatki wymagające gruntownej przebudowy dla wzmoczenia w Polsce produkcji i wymiany. Są one bardzo skomplikowane i trudne do zrozumienia dla człowieka z ulicy, chęć prawodawcy, aby je uczynić sprawiedliwymi, utrudnia ich zrozumienie, a liczne poprawki i nadbudówki działają w podobny sposób. To też w labiryncie ich przepisów orientują się jedynie ci ludzie, co czas swój specjalnym studjom poświęcili. Prawnicy, — których porady podrażają prowadzenie interesu, kupcy, co zamiast zająć się dystrybucją towarów i usług — studjują ustawy. Skomplikowany charakter tych ustaw byłby sam wystarczającą przyczyną ich reformy, nawet gdyby nie zawierały one elementów szkodliwie wpływających na sprawność dystrybucji i na tempo akumulacji kapitału w Polsce.

Podatek dochodowy w Polsce przewiduje dwa rodzaje opodatkowania dochodu. W inny sposób obciążone są płace za najemną pracę, uposażenia, pensje, w inny zaś dochody z wszelkich pozostałych źródeł. Jest w tem rozróżnieniu nie tylko różnica skali; jest różnica w ulgach i obciążeniach z tytułu stanu rodzinnego. Jest, mojem zdaniem, bardzo niesłuszną kumulacja dochodów małżonków, przy braku intercyzy ustalającej oddzielność majątku i dorobku. O ile żyję w konkubinacie, to każde z nas płaci oddzielnie podatek dochodowy; jedynie od swoich dochodów; o ile żona i ja otrzymujemy uposażenia służbowe, to podatek pobierany jest od uposażeń oddzielnie. Jeżeli natomiast ja, jako np. adwokat, a żona moja, np. dentystka, połączeni jesteśmy, zgodnie z tradycją kraju katolickiego, ślubem, to za to dochód z dwóch różnych płynących źródeł, na dwóch oddzielnych oparty przedsiębiorstwach, podlega kumulacji, bo przed ślubem nie zawarliśmy intercyzy.

To stanowisko jest sprzeczne z zasadniczą normą prawną Rzplitej Polskiej, która uznaje pełną równość obojga płci i tworów pośrednich zarówno w dziedzinie praw politycznych, jak i ustaw karnych. Jedynie prawa podatkowe wprowadzają tu dyskryminację i to dyskryminację nie tyle na niekorzyść jednej z płci, co na niekorzyść legalnego stosunku płciowego.

Wiemy z historii Grecji, że kraj ten cierpiał ok. V wieku przed Chr., jak i Polska dziś na przeludnienie. Prawodawcom zależało na zmniejszeniu liczby urodzin i na wychowaniu jedynie najmniejszych. Stąd w Sparcie prawo ojca do zabijania dzieci. Stąd ogólne tolerowanie wszelkiego nierządu, jako dającego ujście popędowi płciowemu bez niebezpieczeństwa wzrostu przeludnienia.

O ile mnie wiadomo, Polska stoi na odmiennem stanowisku. Dowodem tego choćby stanowisko abolicjonistyczne, zamiast reglamentacyjnego w walce z nierządem. Jeżeli więc walczymy o wzrost ognisk domowych to nie obciążajmy ich ponad sprawiedliwość i słusność.

Jako pierwszą tezę prawną w nowym podatku dochodowym należy ustalić:

A) Każdy opłaca podatek dochodowy, wyłącznie od własnego dochodu.

Wspomniałem już o oddzielności opodatkowania wg. działu I i II obowiązującej Ustawy. Taki rozdział wywołuje zasadniczą niesprawiedliwość społeczną. Człowiek któremu „pensja idzie“ bez względu na chorobę, nieszczęścia domowe itp., który ma zapewniony spokój pracy w cudzym warsztacie, płaci podatek wg. skali niezminiejszanej co prawda dla obarczonych liczną rodziną, ale i nie zwiększanej dla samotnych. Płaci za niego podatek pracodawca, wzgl. pracodawcy. Jedynie w tym ostatnim wypadku składa płatnik zeznanie do podat-

ku kumulacyjnego, który jest konieczną korekturą podatku dochodowego: nie dołącza natomiast do opodatkowanego dochodu przychodów z tytułu majątku, tantjem itp., które samodzielny przedsiębiorca dołączyć musi do swego zasadniczego dochodu. z zajęcia zarobkowego lub przedsiębiorstwa. Tego rodzaju uprzywilejowanie pracobiorców jest zrozumiałe, gdy się pomyśli kto ustawy te pisał i i uchwalał, jest niesłuszne natomiast, gdy uwzględnić potrzeby demograficzne Polski i konieczność rozbudowy drobnomieszczaństwa i małego przemysłu.

Ten wzgląd ostatni nasuwa pytanie: Czy nie należy zmienić proporcji? Czy nie należy stworzyć przywileju dla drobnomieszczaństwa?

Na to pytanie w całej rozciągłości nie możemy odpowiedzieć tutaj. Muszę jednakże zaznaczyć, że jeśli przywileje są konieczne, to nie w dziedzinie norm prawnych ogólnych, jednakowych dla wszystkich obywateli.

Jako drugą tezę ustaliłbym:

B) Każdy opłaca podatek dochodowy od całkowitego dochodu.

Teza ta jest sprzeczną z szeregiem zwolnień, zarówno rzeczowych, jak osobowych. Zwolnienia te są w istocie swej niemoralne. Zwolnienie urzędników państwowych stwarza dyskryminację na korzyść pracobiorców, a więc jest sprzeczne z tendencją rozbudowy drobnych przedsiębiorstw. Uprzywilejowanie nowych budynków jest skutkiem błędu: utrzymania ustawy o ochronie lokatorów. Jeśli skasujemy ten anachronizm, będziemy mogli dać wymrzeć i tamtemu przywilejowi. Najbardziej niemoralne jest zwolnienie dochodów płynących z niektórych papierów wartościowych i z wkładów w P. K. O. Zwolnienie to, definitywnie wyjaśnione okólnikiem M. Skarbu Nr. L. D. V 30120/2-35 z dnia 21.9.1935. jest skutkiem nieprzemyślnych przywilejów dawanych przez Państwo jako regulatora norm prawnych na korzyść Państwa jako konkurenta na rynku pieniężnym. Może być tolerowane o ile jest dane na czas określony, jak np. w wypadku Banku Polskiego. Mamy wtedy nadzieję, że przywilej zamrze z upływem terminu na jaki został przyznany. Jest niemoralne gdy staje się normą, powtarzaną z roku na rok przy każdej emisji państwowej. Powinniśmy raz z tem skończyć: więcej przywilejów nie udzielać, stare skasować drogą przedterminowego wykupu wzgl. konwersji uprzywilejowanych pożyczek. Można by powyższe ująć w tezę:

C) Każdy dochód i każdy obywatel podlegają opodatkowaniu podatkiem dochodowym.

Ale nie tylko jednostki fizyczne podlegać powinny temu podatkowi. Powinien być również opodatkowany dochód jednostek prawnych.

I tu nasuwa się zasadnicze pytanie: jak?

Czytając ustawę o państwowym podatku dochodowym, o dodatku kryzysowym do podatku dochodowego i o podatku kumulacyjnym (dopiero te trzy podatki razem stanowią Polski podatek od dochodu) odnoszę wrażenie, że są one fragmentem większej całości, że są one jedynie urywkiem któremu brak części istotnej: oddzielnych norm opodatkowania spółek prowadzonych na zysk, spółek

bezzarobkowych, przedsiębiorstw dochodowych publicznych i innych zrzeszeń i jednostek prawnych. Ustawy nasze są zredagowane w duchu nawet nie XIX, lecz XVIII wieku, kiedy przedsiębiorstwo — to był przeważnie indywidualny przedsiębiorca. Dziś jest inaczej. Mamy na rynku potężne przedsiębiorstwa, odgrywające pierwszorzędną rolę w ruchu kapitałów, wykazujące zyski, a nie podlegające podatkowi dochodowemu, np. Tramwaje miejskie, P. K. O., Chorzów, i Mościce, majątki rolne państwa i fundacji. Powstaje dyskryminacja na niekorzyść przedsiębiorcy prywatnego; dyskryminacja nieuzasadniona, bo skutki gospodarcze takiego uprzywilejowania przedsiębiorstw publicznych nie są zgodne z zasadniczą tezą gospodarczą, wytkniętą dla celów demograficznych: popierać małego, samodzielnego przedsiębiorcę, popierać tego, co stwarza dochodowy warsztat pracy.

Opodatkowanie spółek u nas odbywa się przy spółkach osobowych tak, jakby ich nie było: to jest, opodatkowanym jest dochód każdego ze wspólników oddzielnie, w połączeniu z pozostałymi jego dochodami. Stan ten jest zasadniczo słuszny. Uzupełniłbym go tylko wprowadzeniem obowiązku dla spółki składanie co rok wspólnych zeznań o dochodzie z podaniem, jaki dochód przypada na każdego ze wspólników, oraz jakie kwoty na poczet dochodu były wspólnikom wypłacane. Do dochodu wspólników należałoby włączyć jedynie część dochodu przez nich zainkasowaną; pozostała w spółce renta dochodu należałoby opodatkować wg. norm dla spółek kapitałowych. Przy podjęciu przez wspólników sum, większych od dochodu, należałoby opodatkować całość sum zainkasowanych. Norma ta ma na celu pozostawienie spółkom, jako jednostkom zarobkującym i tworzącym bogactwo narodowe jaknajwiększych środków płynnych, oraz uderzenie po kieszeni wspólników żyjących nad stan, ze szkodą dla działalności gospodarczej ich przedsiębiorstw.

Przy spółkach kapitałowych podatek był wymierzany dotychczas jak przy jednostkach fizycznych. Wskutek tego dochód właścicieli był obciążony podatkiem dwukrotnie: raz przed wypłatą dywidendy, drugi raz po zainkasowaniu kuponu.

Tego podwójnego opodatkowania nie wolno usprawiedliwiać frazesem o ucieczce kuponów przed opodatkowaniem. Wolno karać za fałszywe zeznania: wolno w razie udowodnionego ukrycia dochodów stawiać publicznie pod pręgierz, wymierzać chłostę lub karę pieniężną, aż do konfiskaty majątku włącznie, ale nie wolno w ustawach, w normach ogólnych wychodzić z założenia, że każdy obywatel jest złodziejem, że każdy obywatel ukrywa dochody.

To z gruntu niemoralne stanowisko przynosi a la longue większe szkody i straty państwu, aniżeli nawet ubytek kilku czy kilkunastu milionów złotych w ciągu kilku lat. Podcina ono wszelki uczciwy stosunek obywatela do owej wspólnej, pospolitej rzeczy, jaką jest państwo. Gospodarka Narodowa pisała już raz o tym stosunku Skarbu do obywatela w Nr. 17 — 18 b. r. na str. 259 — 260, wobec czego możemy teraz wrócić do tematu.

O ile w spółkach osobowych, czy w interesach konsorcjalnych opodatkowaniu podlega zysk rozdzielony pomiędzy wspólników, to nie wynika z te-

go bynajmniej, iż w spółkach kapitałowych (z ogr. odp. lub akcyjn.), powinno być tak samo. Możemy rozróżniać kilka alternatyw:

I. Opodatkowaniu podlega jedynie dochód wypłacony wspólnikom: w tym wypadku udziałowcom imiennym lub bezimiennym okazicielom kuponu. Renta dochodu opodatkowaniu nie podlega, gdyż służy do dalszej rozbudowy przedsiębiorstwa lub do wzmocnienia jego rezerw płynnych. Możliwy ją, po potrąceniu amortyzacji, opodatkować jak nowe emisje.

Dochód zaś, wypłacany udziałowcom podlega opodatkowaniu wg. ich zeznań. Przy założeniu też, że B, staje się obojętnym, czy był on wypłacany jako dywidenda, czy jako uposażenie. Wniosek: spółki kapitałowe wogóle nie płacą podatku dochodowego.

II. Opodatkowaniu podlega dochód osiągnięty przez spółkę niezależnie od wypłaconych dywidend. W takim razie pamiętać musimy, że wysokość osiągniętego dochodu zależy od inwestowanego w spółce kapitału. Skala podatku dochodowego od spółek kapitałowych powinna więc i-o uwzględniać dochód na jednostkę inwestowanego kapitału, 2-o uwzględnić fakt podwójnego opodatkowania kuponu.

III. Opodatkowaniu podlega dochód osiągnięty przez spółkę w zależności od wypłaconej dywidendy. W tym wypadku skala podatku byłaby wyrażona np. w stosunku stałym do kwadratu dywidendy. A renta nierozdzielona?

Renta nierozdzielona idzie na amortyzację urządzeń pracujących w przedsiębiorstwie, na wzmocnienie rezerw płynnych, na inwestycje produkcyjne — ta renta nie powinna wcale być opodatkowana, gdyż przyspiesza proces stwarzania nowych warunków pracy. Opodatkowaniu podlegałyby ta część zysków, którą inwestowałyby spółka w potrzeby konsumpcyjne, w budynki mieszkalne, udogodnienia sanitarne, instalacje sportowe, ogrody drogi przeznaczone dla ogółu pracowników. Ta część dochodu, podnosząca poziom stopy życiowej ludności związanej z daną spółką, dyskryminująca ludność pozostałą tego okręgu, podlegałaby podatkowi dochodowemu wg. norm dla jednostek fizycznych.

Pozostawiam publicznej dyskusji decyzję, która z tych norm jest słuszniejsza w warunkach polskiej rzeczywistości; słuszniejsza i korzystniejsza dla kraju, pozbawionego kapitału własnego. Prawdopodobnie słuszną okaże się jakaś norma czwarta, czy piąta, nie przewidziana przezemnie.

Na marginesie opodatkowania spółek kapitałowych należy wspomnieć o trzech bolączkach, związanych, z tem zagadnieniem.

Pierwszą jest spaczenie pojęcia zdrowego bilansu kupieckiego wskutek wymagań podatkowych. Bilanse podatkowe, to jest te, które układamy wg. wskazówek i na żądanie władz skarbowych są fałszywe. Zawierają one bowiem aktywa oszacowane ponad wartość, a pasywa często nie w pełnej wartości. Dzieje się to pod presją fiskalistów żądających ujawnienia nieistniejących zysków. Temat to bardzo obszerny i wymaga oddzielnego omówienia.

Drugą jest sprawa norm amortyzacji. Normy

są ograniczone z powodów j. w. Pociąg? aby wykazywać zysk, podlegający opodatkowaniu. Jedynym słusznym ograniczeniem byłoby zaprzestanie amortyzacji po osiągnięciu przez kapitał amortyzacyjny wartości inwestycji niepiśmnych *) poza wartością gruntu. Wtedy nadwyżka dochodu automatycznie podlega podatkowi w większej proporcji, a pierwszy okres istnienia przedsiębiorstwa aż do zamortyzowania inwestycji byłby słusznym okresem mniejszego opodatkowania młodej placówki. Ważną jest również sprawa amortyzacji walorów nierzeczowych to jest portfeli w spółkach holdingowych albo „good will“ w innych przedsiębiorstwach. I tu wskazane są normy możliwe liberalne, aby nie stwarzać dętych aktywów.

Trzecią bolączką opodatkowania dochodu spółek kapitałowych, nieznaną jeszcze w Polsce, jest zagadnienie tych firm, które dla uniknięcia podatku dochodowego likwidują się, sprzedając instalacje ad hoc założonej nowej spółce i rozdzielając zysk między akcjonariuszy nie jako dywidendę, lecz jako likwidację — jako zwrot majątku. Spotkałem taki wypadek w 1916 r. w Danii.

Zagadnienie likwidacji spółek zahacza może raczej o nieistniejący u nas podatek od przyrostu wartości majątku, będącego czem innym, aniżeli dochodem.

W zależności od tego, jak opodatkować spółki kapitałowe powstaje lub zanika sprawa opodatkowania holdingów. Klasyczny holding, spółka założona celem kupna walorów kredytowych (akcji, obligacji, należności) daje w obecnych warunkach trzykrotne opodatkowanie dochodu. W warunkach alternatywy I mielibyśmy opodatkowanie tylko raz jeden. Moim zdaniem holdingi powinny być wogóle *expressis verbis* zwolnione od podatku dochodowego, a podlegać specjalnemu podatkowi od holdingów będącemu analogią podatku od kapitałów i rent. Cechą charakterystyczną odróżniającą holdingi od interesów handlu pieniężnego jest ich charakter konsorcjalny, wzgl. fakt kupowania walorów i administrowania nimi tylko na własny rachunek, co odróżnia je też od powierników, czyniących to samo na rachunek cudzy.

Zagadnienie opodatkowania przedsiębiorstw komunalnych i państwowych też musi zostać rozwiązane przy okazji, wg. tych samych norm co dla spółek kapitałowych. Zwyczaj kosztów dajmy na to świadczeń tramwajowych odbija się na zmniejszonych przelewach do kas miasta — stąd słuszność niższego opodatkowania tego przedsiębiorstwa. Przy podniesieniu taryfy słusznym jest, by nie tylko miasto korzystało, lecz i państwo, którego obywatel drożej płaci za te same świadczenia. Inne są motywy gdy idzie o opodatkowanie przedsiębiorstw państwowych. Słusznym jest argument wysuwany przez Lewiatana, że obliczanie podatku przelewane do tej samej kieszeni co i pozostała reszta zysku jest marnotrawieniem sił roboczych. Istnieją natomiast inne argumenty, które przemawiają za opodatkowaniem przedsiębiorstw pań-

*) Są to: budynki, maszyny i surowce w stadium przetwarzania, a więc stały zapas chemicznej w rurach i aparatach, bawelna na wrzecionach, przedza w osnowach, surowiec żelazny w wielkim piecu itp.

stwowych. Przedewszystkiem norma ogólna równości obywatelskiej, rozszerzona z osób fizycznych na osoby prawne. W Polsce, w dziedzinie podatkowej już raz została ona pogwałcona przy zwolnieniu od podatku dochodowego urzędników państwowych. Następnie idzie o możliwość statystycznego porównania przedsiębiorstw państwowych i prywatnych — idzie o wspólną miarę. Trzecim argumentem za całkowitem upodobnieniem tych przedsiębiorstw do spółek akcyjnych prywatnych jest zachowanie przez Państwo możliwości operowania na rynku akcjami tych przedsiębiorstw, jako rezerwy na pokrycie deficytu budżetowego. Dziś brzmi to ostatnie zdanie jak herezja. Ja jednak przewiduję moment, w którym Państwo płynny kapitał z rynku zbierać będzie nie obligacjami o stałym, lecz akcjami o zmiennym oprocentowaniu i uważam za słuszne już dziś przygotować teren pod te operacje.

Pozostaje do omówienia zagadnienie spółek bezzarobkowych i zrzeszeń. Spółki bezzarobkowe rozpadają się na dwie grupy: a) holdingi, (p. w.), b) syndykaty i biura sprzedaży. Te ostatnie, o ile statutowo zobowiązane są całość inkasa, po pokryciu własnych kosztów, ponoszonych w imieniu wspólników, — przelewać do kasy tych wspólników. Należy je traktować — pomimo formy akcyjnej, — jak interesy konsorcjalne — jak spółki osobowe. Dzisiejsza praktyka: dodawanie niektórych wydatków (prenumeraty czasopism fachowych i składki dobroczynne) i nazywanie ich dochodem dla tego, aby brać podatek, jest chińszczyzną, możliwą tylko w warunkach podatkowego zakłamania i wiary w konieczność fikcyjnego zarobku — nawet kosztem fałszywych bilansów. Nowa ustawa musi wyraźnie wspomnieć o spółkach bezzarobkowych; może ograniczyć ich formy, ale nie może stwarzać fikcji, jakoby ich wogóle nie było.

Związki i zrzeszenia są u nas wolne od podatku dochodowego. O ile więc człowiek prywatny połowę swego dochodu poświęca na cele społeczne, to ta połowa jest obciążona poważnym podatkiem dochodowym — jeżeli natomiast zrzeszenie, mające dochód z opłat celowych, a więc, przymusowo ściągany z interesentów nie drogą składek, z tego dochodu nic na cele społeczne nie zużywa, to ten dochód wolny jest od podatku. Zagadnienie jest otwarte: Zarządy cmentarne, zrzeszenia zawodowe, Izby Przemysłowo - Handlowe i inne, powinny podlegać podatkowi w tej w każdym razie części dochodu, która nie pochodzi ze składek członkowskich lecz z opłat. Albowiem opłaty są ceną za świadczenia, są dochodem brutto przedsiębiorstwa, które sprzedaje pewne usługi.

Sposób obliczania dochodu netto tych zrzeszeń to jest dochodu podatkowego, skala podatku, to inna sprawa, jeszcze bardziej otwarta niż sama zasada.

Samorządy obecnie podatku dochodowego nie płacą. Przypuszczam, iż ta część zagadnienia może czekać, aż system komisarzy rządowych i rad z nominacji zostanie ukoronowany formalnem skasowaniem samorządu w Polsce, wobec fatalnego finansowego ich stanu. Tem samem zniknęłaby podstawa opodatkowania.

Nie poruszałem dotychczas świadomie sprawy skali podatkowej. Wysokość jej można w właściwy sposób ustalić dopiero po zbadaniu jakim będzie efekt skarbowy zreformowanego podatku. Tu jednak warto wspomnieć o trwałości norm tymczasowych:

Czesław Klarner, dla doraźnego załatwienia dziury budżetowej wprowadził w zaraniu ery majowej 10 proc. dodatek do podatków bezpośrednich. Zarządzenie to, jako paliatyw, było słusznem i zgrabnem posunięciem. Niestety jednak, dziesiąty rok ery majowej mija, klarnerowskie 10 proc. urosły do 15 proc. i stały się podatkiem stałym. Jako taki nie mają sensu.

Dodatek kryzysowy nabiera coraz więcej cech trwałości i powszechnie się o nim mówi jako o opłacie, co pozostanie.

Czyż nie lepiej, zamiast norm niedostatecznych poprawianych dobudówkami, stworzyć skalę ruchomą? Skala podatku dochodowego ulegałaby zmianie z roku na rok, ustalonyby mnożnik podczas dyskusji budżetowej. Zyskalibyśmy na tem to, że mielibyśmy jedną stałą normę, tylko parametry cyfrowe ulegałyby wahaniom. Nie byłoby konieczności pytania co rok: a może jakiś nowy dodatek do podatku nałożono podczas wakacji? Skale podatku, wydrukowane na formularzach zeznań o dochodzie byłyby dostępne dla publiczności.

[Na zakończenie tego przydługiego artykułu, który bynajmniej tematu nie wyczerpał, a z lekkim poruszył jedynie najważniejsze jego fragmenty, wspomnieć warto, że podatek dochodowy w warunkach polskiej rzeczywistości wogóle nie powinien odgrywać dominującej roli. Nie na podatkach bezpośrednich powinien się opierać budżet kraju ubogiego w kapitał i niedość rozbudowanego, lecz na opłatach konsumcyjnych, na podatkach pośrednich i to opartych na przedmiotach bezpośredniego użytku. Tylko ta szeroka podsiawa może zapewnić dochód państwu nie podcinając wątlej kapitalizacji w Polsce.

Zarząd Klubu Gospodarki Narodowej zawiadamia, iż we wtorek dnia 5 listopada r. b. o godz. 20-ej w lokalu przy ul. Szpitalnej 4 m. 18 odbędzie się Doroczne Zwyczajne Walne Zgromadzenie Klubu.

Porządek obrad:

1. Sprawozdanie Zarządu.
2. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
3. Wybór Władz.
4. Wolne wnioski.

NOTATKI

PRÓBY WNIOSKOWANIA

Statystyka — dobra rzecz. Szkoda tylko, że kompresje budżetowe dotyczą tak Bogu ducha winne pozycje, jak publikacje Głównego Urzędu Statystycznego, których pożytek stwierdzony jest „urbi et orbi”. Dlatego też brak całego szeregu już gotowych, ale dzięki kompresji środków finansowych niewydrukowanych materiałów, niezbędnych w życiu codziennym — jest już naprawdę irytujący.

Tak np. do dziś dnia niema wyników powszechnego spisu z 1931 r. Wyniki globalne, rzecz prosta są, ale szczegółowych danych o — dajmy na to — strukturze zawodowej ludności w Polsce jak nie było tak niema. Drukuje się poprawda małe kartki, wtykane do „Wiadomości Statystycznych”, ale to jasnych i fachowo zestawionych tablic nie zastąpi.

Trudno więc będzie odpowiedzieć np. na pytanie, czy i w jakim stopniu t. zw. światopogląd emerytalny znajduje potwierdzenie w rzeczywistości lub czy i w jakim stopniu jesteśmy społeczeństwem „zurzędniczałem”. Mimo to, biorąc do ręki 4 ostatnie zeszyty „Wiadomości” i grzebiąc się w wymienionych kartkach, dochodzimy do pewnych interesujących (acz b. fragmentarycznych) wniosków.

Okazuje się bowiem, że w 11 powiatach (w tem 2 miejskie) w Małopolsce spis naliczył 50.213 zawodowo czynnych w przemyśle i rzemiośle, 14.806 — handlu towarowym, 2.033 — w higienie i opiece społecznej (gros tutaj stanowią lekarze), blisko 1.500 — w sądownictwie i adwokaturze, 2.156 — w administracji publicznej oraz (uwaga!) 6.776 — jako emerytów i inwalidów; ludność wynosiła ogółem 929.767 osób.

Wniosek (z tysiącem zastrzeżeń) brzmi następująco: w zasadzie trudno mówić o przeroście liczebnym administracji publicznej; przerosty te były w przeszłości, której konsekwencją jest ilość emerytów (bo inwalidzi stanowią znikomą mniejszość), 3-y krotnie conajmniej wyższa od aktualnej ilości funkcjonariuszów publicznych i tylko 2-u krotnie mniejsza od ilości kupców. I drugi wniosek: w świetle przytoczonych liczb głosy, mówiące o przeroście pośrednictwa, są conajmniej przesadzone; $1\frac{1}{2}\%$ ogółu ludności wykazał spis, jako zawodowo czynnych w handlu — to nie jest dużo, to jest raczej niewiele.

Ale to są tylko, właściwie biorąc, próby wnioskowania. Do wniosków, że tak powiem: obowiązujących, nie dają nam materiału.

br

KŁOPOTLIWE POMARAŃCZE

Nie jestem specjalistą od handlu zagranicznego, tylko laikiem, i jako taki czytuję „Wiadomości Statystyczne”, które m. in. drukują przejrzyste tabele o przywozie i wywozie. Czytając, dochodzę jednak do wniosku, że albo ja nie rozumiem liczb, albo te liczby są dziwnie... wymowne.

Tak np. pozycja „pomarańcze i cytryny”. W ciągu pierwszych 3 kwartałów ub. r. sprowadzi-

liśmy ich za 4.946 tys. zł., w takimże okresie r. b. — za 16.962 tys. zł. Że różnica (12.016 tys. zł.) jest pokazna, to każdy z nas wie, dlaczego, bo sam zimą b. r. zjadał się taniemi pomarańczami ze słonecznej Hiszpanji. Słoneczna Hiszpanja obiecała, co prawda, wziąć za swoje pomarańcze polskie „jaja ptactwa” (jak się wyraża G. U. S.). Istotnie, wzięła: eksport jaj z 19.056 tys. zł. (I — IX 1934 r.) skończył aż na 19.618 tys. zł. (I — IX 1935 r.) czyli o 562 tys. zł. Żeby się upewnić co do podanych obliczeń, bierzemy wagę cyt. porównań. Okazuje się, że import pomarańczę i cytryn podniósł się z 12.549 tonn na 38.083 tonn, gdy eksport jaj wzrósł z 17.903 tonn na 18.019 tonn. Stosunek jak wyżej. Ciekawe jest przytem, iż wbrew mniemaniu konsumenta i wbrew jego kieszeni pomarańcze nie potaniały, lecz podrożały: przeciętna (statystyczna) cena 1 kg. podniosła się z 39 groszy (1934) na 44,5 gr. (1935). Ponieważ cena (również statystyczna) 1 kg. jaj polskich wzrosła ze 107 na 109 groszy, więc trudno przypuścić, by spożywcy hiszpańscy obrazili się o te 2 grosze różnicy, skoro spożywcy polscy nie wzięli za złe hiszpanom tamtych 5 groszy. A mo że nasze stawki celne zniżono na pomarańcze w stopniu większym i wydatniejszym, aniżeli hiszpańskie cło na jaja? Czy też może hiszpańskie żołądki nie są w stanie strawić o jedno jajko więcej niż w roku ubiegłym, aczkolwiek pojemność polskich żołądków w odniesieniu do pomarańczę wykazała zadziwiającą elastyczność?...

I tyle kłopotów z powodu jakichś tam pomarańczę. Lepiej nie zapuszczać się w daleką lekturę handlu zagranicznego, bo można osiwieć ze zmartwienia.

z. i.

ADWOKAT I FURA

Nie. Nie: „adwokat i różę”, a „adwokat i furę”. Fura węgla. Poprostu piętnaście korcy, kupionych na jesieni na zimowe potrzeby adwokata L w firmie: „Dom Handlowy X. Y. Spółka Akcyjna” na spłaty w drodze świadczeń wzajemnych. Adwokat L bowiem dla tejże firmy załatwia szereg spraw podatkowych.

Z Urzędu Skarbowego N.N. przychodzi wezwanie, aby adwokat L pod groźbą sankcji prawem przewidzianych stawił się w ciągu 3-ch dni dla złożenia wyjaśnień.

— Przy rewizji ksiąg w firmie X Y. stwierdził, że Pan kupił półtorry tonny węgla. Czy Pan wykupił świadectwo przemysłowe dla przedsiębiorstwa handlowego, przed dalszą odsprzedażą?

— Nie wykupiłem. Jestem nie kupcem, a adwokatem. Panowie znają mnie, gdyż przychodzę do Was z reklamacjami moich klientów.

— Pan kupił dużą ilość węgla i myśm przypuszczali, że Pan odsprzedaże; dlatego pozwoliliśm sobie Pana zawezwać. Na co Panu tyle węgla.

— Mam kilkupokojowe mieszkanie i kuchnię. Ale czy nie szkoda Waszego i mojego czasu, na wzywanie w takiej sprawie człowieka, którego przecież znacie jako pracownika w innym fachu.

Możnaby, dla takiej blahostki, zwrócić się do mnie telefonicznie.

Nie Panie mecenasie. Pan nie ma racji. — Niech Pan nie podsuwa Urzędowi Podatkowym myśli, by się telefonicznie pytały, na co nam tonna węgla, a poco ciocia Fencia jeździ do Łodzi, czy aby nie handluje manufakturą, a za jakie pieniądze szwagier pojechał na Sowiniec i czy jego dochody pozwalały mu na taki zbytek. Bo wtedy nie będziemy wiedzieli dnia, ani godziny. Wolę już wezwanie na piśmie. Przynajmniej wzywający namyśli się, czy aby wezwanie ma ślady uzasadnienia.

A czy Urząd Skarbowy może nie poszukiwać podhurtownika od 1½ tonny węgla? Wszak przy naszym systemie podatkowym nigdy nie wiadomo kto jest przestępcą skarbowym.

Prostsze prawa.

Prostsze ustawy.

Prosty rozsądek.

Tak. Ale kiedy?

s. m.

MILCZĄCA PASTA

Wielki niemiły telefon P. A. S. T., zwana pospolicie Pastą, znana z wyższego kursu arytmetyki handlowej jako instytucja, która obniżając

taryfy — podnosi ceny, monopolista, bezkarny i straszny, Moloch pożerający nasz spokój domowy, siedmiogroszówki za pseudonadliczbowe godziny; liczący bez liczników na starych aparatach, według przeciętnej poprzedniego okresu; zwany w języku dawnych warszawiaków Cedegrenem — zaniemowił.

W niektórych dzielnicach nagle telefony przestają działać. Bez uprzedzenia, bez ogłaszania w gazetach, że wskutek wymiany kabla, czy innych chwalebnych przyczyn, komunikacja telefoniczna będzie wstrzymana od godz..... dnia... do godz..... dnia... Abonent czeka w domu na ważną wiadomość od której zależą losy rodziny; kupiec ma po południu dać zlecenie na giełdę londyńską; fabrykant oczekuje raportu z prowincji, aby zdecydować na tychmiast czy przyjmuje zamówienie czy nie; adwokat czeka decyzji swego klienta, czy składać w ostatnim terminie odwołanie, wzgl. reklamację podatkową. Oczekuje telefonu w swej dzielnicy. Gdyby wiedział że telefon nie będzie czynny umówiłby się w inny sposób lub w innej dzielnicy.

Milcząca Pasta wywołuje niepowetowane szkody i straty.

Żądamy za nie odszkodowania na zasadzie artykułów 239 i 240 Kodeksu Zobowiązań 1933 roku.

s. m.

NAKŁADEM MIESIĘCZNIKA „BANK”

ukazuje się praca

prof. J. Aseńki S.F. Int. A.C. i A. Grodzkiego S.F. Int. A.C.

p. t.

KONTROLA FINANSOWA

Spis rozdziałów: 1) Pojęcia ogólne, 2) System samokontroli autonomicznej, 3) Ddpowiedzialność rewidentów, 4) Ogólne zasady rewizji, 5) Rewizja aktywów płynnych, 6) Rewizja aktywów stałych, 7) Rewizja zobowiązań, 8) Rewizja rezerw, 9) Rewizja kapitałów własnych, 10) Rewizja dochodów, 11) Rewizja strat i zysków.

Praca powyższa jest podręcznikiem niezbędnym dla każdego kierownika przedsiębiorstwa, rewidenta, rzeczoznawcy - księgowego i t. p.

Warunki subskrypcji:

„Kontrola Finansowa” jest wydawana w zeszytach ukazujących się co miesiąc i zawierających po 3 arkusze druku. Dotychczas ukazały się 2 zeszyty, dalsze dwa zostaną wydane w końcu września b. r.

Cena wraz z przesyłką wynosi:

w abonamencie: w księgarni:

a. za zeszyt	5.00 zł.	4.00 zł.
b. za całość		
przy wpłacaniu mies. ratami	24.00 „	32.00 „
przy zaplaceniu zgóry za całość	18.00 „	26.00 „

Należność prosimy wpłacać na konto P. K. O.:

„Kontrola Finansowa” — wydawnictwo nr. 8501

Prospekty na żądanie wysyła administracja mies. „Bank” — Warszawa, Nowy Świat 7 m. 39.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI
„GOSPODARKA NARODOWA” CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI
ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4• TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. „Zawodowa”, ul. Długa 30, tel. 11.53-01.

